Rzeszowie


# WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 28 (145)
Rok IV
12 VII 1964 r.


# PROBLEM MIASTECZKA

JAN GRYGIEL

CZY ISTNIEJĄ DZIŚ JESZCZE W POLSCE „OBRZYDŁÓWKI", Łżawce, Klerykowy, które kiedyś dla Żeromskiego stanowiły przedmiot soczystej nienawiści? Owe zatęchłe, peryferyjne mieściny, w których drzemie przyczajona drobnomieszczańska głupota, odwieczne przesądy, kołtuńskie obyczaje i filisterska moralność. Miasteczka, które są jak grzęzawiska — wciągają w błoto powoli, lecz nieuchronnie ideowców, działaczy, misjonarzy postępu — zmieniają doktorów Judymów w Obareckich obrastających w tłuszcz i pieniądze. Odbierają zapał, wiarę w siebie i swój program, siły i bezkompromisową pryncypialność młodym lekarzom, nauczycielom, społecznikom, którzy chcą pchnąć z posad bryłę świata. Czy w ogóle te antynomie między ideowymi inteligentami a grajdołkami, które stanowiły zasadniczy problem w twórczości Żeromskiego nie są już w naszych czasach anachronizmem?

Do takich pytań pobudzają czytelnika i obserwatora form współczesnego życia w różnych Kańczugach, Żołyniach, Kołaczycach książki, które niedawno ukazały się na półkach księgarskich. Mam tu na myśli „Matoła" Ryszarda Miernika i dwie książki Adama Strusia: „Rok w miasteczku" oraz „Jestem kim innym".

Ryszard Miernik jest debiutantem wywodzącym się z kieleckiej grupy młodych poetów i pisarzy — „Ponidzie". Ci młodzi, pochodzący z małych miast Kielecczyzny są szczególnie wrażliwi i uczuleni na sprawy prowincji, na kształt naszej socjalistycznej rzeczywistości w Bodzentynie, Włoszczowej czy Szczekocinach. Ta kraina Żeromskiego pozostała bowiem nadal na uboczu od wielkich przemian industrializacyjnych, od głównych szlaków nowoczesnej cywilizacji. Ryszard Miernik zaczął również swą twórczość pisarską od wnikliwej analizy nieefektownej codzienności małego miasteczka. Książka stanowiąca pogranicze pamiętnika, eseju i powieści — pogranicze dokumentu i utworu literackiego ujmuje autentyzmem, gruntowną wiedzą o środowisku i głębokim zaangażowaniem ideowym. Tkwi niezwykle mocno w realiach małomiasteczkowych, ukazuje precyzyjnie psychikę strasznych mieszczan, małych oportunistów, rutyniarzy i groszorobów. Bohaterem utworu jest młody nauczyciel polonista, który stanowi prawdopodobnie alter ego autora. Jest on bohaterem pozytywnym, choć nie takim, do jakiego przyzwyczajono nas w „produkcyjniakach". Nie ma nic w sobie z krzepiącej pogody i łatwego optymizmu, z prostoduszności i prostolinijności. Jest chłopcem, który nie umie sobie poradzić z sobą i ze światem, rozdartym wewnętrznie, skłóconym z otoczeniem, gniewnie najeżonym w stosunku do wszystkiego. Przede wszystkim nie może się pogodzić z rzeczami przykrymi, cuchnącymi, z bajorkiem drobnomieszczaństwa i oportunistyczną frazeologią. Te sprawy ciążą mu jak kula u nogi, gdyż sam w nich wyrósł.

*„Cóż — ciocia!"* — powiada rozpamiętując swoje dzieciństwo — *„Kiedyś pani aptekarzowa, dziś — nie wiadomo kto. Owinięta w mit świetnej przeszłości jak cukierek w folię obnosiła pogardę do dziadowskiego miasta i — sprzedawała pokątnie resztki gratów. Wychowywany w kulcie Boga i Cioci szanowałem jedno i drugie na odległość. Pobyt na studiach otworzył mi oczy, ukazał mizerię światka odmierzającego na aptekarskiej wadze każdą wartość".*

Gdzie indziej wspomina: — *„Przypomniały mi się słowa Biesagowej. — Takiego pogrzebu to w Kuźnicy jeszcze nie było. Trumna leżała na wozie, a za wozem szła matka. Ani krzyża, ani księdza, ani ludzi. Pochowali ją na miejscu poświęconym. W nocy ktoś przeniósł nieboszczkę pod mur, tam gdzie grzebią wisielców i bezbożników... Anielka będąc panną miała dziecko. Urodziła je w chlewie i trzymała tam dotąd, aż ją zabrano do szpitala. Po powrocie do domu nie było dla niej miejsca na ziemi. Otruła najpierw dziecko, później siebie. Przed śmiercią napisała jedno zdanie: — Niech moja krzywda spadnie na was i wasze dzieci"...*

Z tym wszystkim podejmuje młody nauczyciel zdecydowaną walkę. Jedyni jego sojusznicy to kilku nauczycieli, sekretarz Komitetu Powiatowego partii i młodzież. Patronują mu w tej walce cienie Stefana Żeromskiego i Adolfa Dygasińskiego, wielkich synów ziemi kieleckiej. Z ich bowiem tradycji wyrosła ta żarliwa książka — z tradycji służby społecznej, z tradycji zaangażowania i niezgody na zło. Do ich myśli i wskazań wciąż się odwołuje bohater książki. Mimo wyraźnej zbieżności, zupełnie zresztą przypadkowej, problematyki „Matoła" z ideą społecznikowską w twórczości Żeromskiego, książka Miernika ma wydźwięk optymistyczny. U niego walka z Obrzydłówkiem kończy się klęską Obrzydłówka, a nie Obareckich i Judymów. W miasteczku powstał kombinat przemysłowy, w czynie społecznym zbudowano park wypoczynkowy, w pobliżu chłopi wznoszą szkołę Tysiąclecia oraz projektuje się budowę sztucznego jeziora. Te konkretne dowody postępu ekonomicznego i cywilizacyjnego pozwalają z ufnością czekać na zniknięcie z naszego życia Obrzydłówków.

Nowatorska w formie, zdyscyplinowana i dojrzała, a równocześnie sugestywna i świeża mikropowieść Miernika jest dowodem wyraźnych przemian twórczości młodego i najmłodszego pokolenia pisarzy. Jest objawem obywatelskiego zaangażowania i społecznej pasji młodych, które to cechy znajdujemy ostatnio na kartach wielu ich utworów. Pod warunkiem, że wchodzą do literatury z bagażem doświadczeń zawodowych i społecznych, z wiedzą sprawdzoną we własnym działaniu, o współczesnej Polsce.

Nie wszyscy jednak i dzisiaj wygrywają walkę z rozmaitymi Miasteczkami. Przegrał ją bohater dwu, stanowiących całość książek Adama Strusia, które wymieniłem na początku artykułu. Akcja obu powieści toczy się w małej mieścinie, w środowisku lekarskim. Ich bohaterem (zarazem narratorem, bo powieści mają formę pamiętnika) jest także lekarz. Jesteśmy więc znów blisko doktora Judyma. Także i tu ukazuje Struś ponure relikty przeszłości, które z wielką jeszcze żywotnością trwają w naszych czasach. Miasteczko, w którym każe działać i żyć bohaterowi — *„jest pod każdym względem podobne do wielu jeszcze małych, brzydkich i zaniedbanych miasteczek wschodnich województw kraju, owej dawnej Polski B. Duży, kwadratowy rynek porasta trawa tratowana przez ludzi i kozy, a okalają go dość szczelnie szpetne domki przeważnie drewniane o koślawych balkonikach i wykrzywionych dachach. Za domkami zaplecze komórek, chlewików, szop, niezdarnych przybudówek, walących się ustępów. Grząskie błoto ciasnych podwórek".*

W takim otoczeniu próbuje rozwijać pożyteczną działalność nowo przybyły lekarz. Jako kierownik Wydziału Zdrowia Prezydium PRN usiłuje uzdrowić stosunki w miejscowej służbie zdrowia, walczyć o etykę lekarską, budować nowoczesną stację Pogotowia Ratunkowego, a przede wszystkim szerzyć zasady higieny wśród okolicznej biedoty. Przegrywa, gdyż jego kroki paraliżuje bierność i niezrozumienie miasteczka, biurokratyzm i intrygi kolegów lekarzy, którym przeszkadza w eksploatowaniu chorych. Ale przegrywa także i dlatego, że brak mu energii i zapału. Przybył już w te strony jako życiowy bankrut, który szuka spokoju i odpoczynku a nie konfliktów. Powiada o sobie: *„Cóż za znaczenie mogłoby mieć to, co ja napiszę? Jestem kiepskim lekarzem — „omnibusem", kiepskim kierownikiem kulejącego Wydziału Zdrowia w powiecie z nieprawdziwego zdarzenia, zmęczonym człowiekiem z małego miasteczka. Nie należy mieć złudzeń".* A więc klęska nie jest tu wynikiem układu sił między ideami postępu i cywilizacji, lecz spuścizną przeszłości. Są to jeszcze jedne dzieje nieudanego życia. W drugim tomie powieści narrator jest już tylko lekarzem wiejskiego ośrodka zdrowia, starzejącym się i schorowanym, zapatrzonym w siebie, w swoją przeszłość, uwikłanym w konflikty późnej miłości. Miasteczko, sprawy społeczne, otaczająca rzeczywistość odsuwają się na plan dalszy. Powieść zmienia oblicze — ze społecznej staje się psychologiczną. Bije z niej głęboki, przejmujący smutek człowieka nieszczęśliwego, który w oczekiwaniu śmierci zdaje sobie sprawę z tego, że życie przeciekło mu między palcami. Że było nieprawdziwe, nieautentyczne. Mimo to jednak i ta gorzka powieść przykuwa swoją prawdą wewnętrzną, wiedzą o szarym i uciążliwym życiu miasteczek, zwłaszcza uciążliwym dla słabych a wrażliwych marzycieli, jakim jest niewątpliwie bohater. Pogruchotało mu kości to Miasteczko, gdyż nie miał w sobie zadziorności i pasji, a przede wszystkim ideowego zaangażowania tamtego młodego nauczyciela z powieści Miernika. A więc sprawa Obareckiego w naszych czasach może się jeszcze zdarzyć?

I tu wracamy do kręgu pytań postawionych na początku tych rozważań, aby niestety odpowiedzieć na nie twierdząco. Istnieje jeszcze sporo miasteczek i osiedli w Polsce, nad którymi czas stanął w miejscu. Łatwiej dokonać rewolucji w dziedzinie ekonomicznej, społecznej i politycznej niż zmienić moralność i obyczaje. Nie trzeba się łudzić, że pralki, telewizory, motocykle świadczące o zmianach cywilizacyjnych oznaczają również takie same zmiany w świadomości mieszkańców Miasteczek. Ale dzisiaj żyjemy w innej epoce jak Żeromski. Zwyciężyliśmy już wiele Obrzydłówków, zwyciężymy te ostatnie pod warunkiem, że do tych fortec przeszłości wyruszą Judymowie naszych czasów nie w pojedynkę, lecz gromadnie, z celem z góry określonym. Że będzie tam wciąż więcej ideowych lekarzy, nauczycieli, prawników, agronomów, działaczy społecznych, bo oni dzisiaj stanowią sól ziemi. By jednak przeciwnika pokonać, trzeba go wpierw poznać. Dlatego książki Miernika i Strusia liczą się na wagę złota, są nieocenionym sprzymierzeńcem w tych trudnych zmaganiach.

**Ryszard Miernik: „Matoł". Czytelnik 1964. Adam Struś: „Rok w miasteczku". Czytelnik 1962. Adam Struś: „Jestem kim innym". Czytelnik 1964.**

JERZY HARASYMOWICZ

## LATO

*Znikają znad miasta ptaki obłoki*
*Żółknie dzień bez jednego drzewa*
*W zaułkach Caruzo ten słodki głos zza grobu*

*Staruszkom żółkną w rękach gazety*
*Ktoś zostaje na ławce nakryty płachtą lipca*
*I tylko pomnik przechadza się z odkrytą głową*

*Gorący miejski monsun*
*Wieje od kilku tygodni*
*Kobiety już bez osłonek*
*Są tylko kobietami*

*Zapada letni mrok*

*W pokoju mucha przechodzi*
*Suchą nogą przez kałamarz*

*Anioły pod białą szatą*
*Mają od razu uda*

*Na spacerze* *Fot JANUSZ WITOWICZ*

# Konkurs na pamiątkarstwo ludowe

**Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, pragnąc ożywić i spopularyzować ludową twórczość pamiątkarską ogłosiły konkurs na pamiątki z naszego województwa. Zgodnie z regulaminem do konkursu można zgłaszać przedmioty wykonane ręcznie i związane z tradycjami regionalnymi naszego województwa, jego historią, zabytkami i folklorem. Mogą to być też drobnostki pamiątkowe związane z przyrodą i specyfiką gospodarczo-geograficzną, np. terenów podgórskich, lasowiackich, łemkowskich, ukraińskich itp.**

**Wzory konkursowe mogą być wykonane z papieru, wikliny, rogożyny, rafii, drewna, metalu, gliny, skóry, mas plastycznych i innych dostępnych surowców.**

**Konkurs obejmuje przedmioty z dziedziny garncarstwa, haftu i koronkarstwa, plecionkarstwa, zabawkarstwa i drobną galanterię. Warto tu podkreślić, że regulamin konkursu zwraca uwagę na pamiątki typu użytkowego, np. w dziale plecionkarstwa mówi o pamiątkach — torbach, koszyczkach, kapeluszach plażowych i turystycznych, regionalnych opłatankach do naczyń itp**

**Do udziału w konkursie organizatorzy zapraszają artystów plastyków i studentów akademii plastycznych, absolwentów i uczniów średnich szkół plastycznych, twórców ludowych i rzemieślników-chałupników.**

**Szczegółowych informacji o konkursie można zasięgnąć w Wydziale Kultury Prez. WRN i Prez. PRN w Rzeszowie oraz w Muzeum Okręgowym.**

**Konkurs trwa do 15 października br., a wyniki ogłoszone zostaną w końcu listopada br.**

**Przewiduje się przyznanie nagród w 2 grupach: za najlepsze prace artystów plastyków i studentów 6 nagród w wysokości od 2500 do 1000 zł, za pamiątki twórców ludowych i rzemieślników 10 nagród od 2000 zł do 750 zł oraz wyróżnienia pieniężne w obu kategoriach konkursowych.**

**Oby konkurs był jak najbardziej owocny! Ładne pamiątki to rzecz bardzo poszukiwana. Więcej ładnych, tanich i praktycznych wizytówek naszego regionu!**

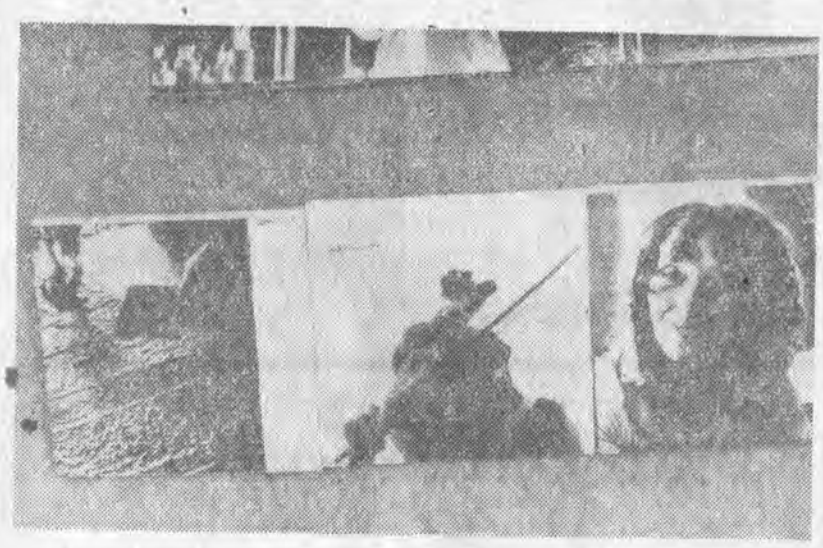

A. JAKUBOWICZ

# ŚWIAT MARKA HOLZMANA i RZECZYWISTOŚĆ

Propozycja zorganizowania tej wystawy w Rzeszowie wyszła z Warszawy. Na ostatnim Zjeździe Związku Polskich Artystów Plastyków, jaki odbył się kilka miesięcy temu, dyrektor Przedsiębiorstwa „Pracownie Sztuk Plastycznych" pan Urbanowicz zaproponował prezesowi Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie, Jerzemu Majewskiemu, zorganizowanie wystawy fotografiki Marka Holzmana, „wystawy nieco odmiennej od tradycyjnych wystaw fotograficznych". Oczywiście, propozycja została przyjęta. Obecnie gościmy w salach wystawowych ZPAP w Rzeszowie przy placu Zwycięstwa 2 tę właśnie wystawę. Piękną, mądrą wystawę.

Marek Holzman należy dziś do czołówki fotografików kraju i za pokazanie jego prac w naszym mieście należy podziękować organizatorom wystawy.

Pierwszą część ekspozycji, umieszczona w sali wystawowej na parterze obejmuje głównie fotografię portretową, traktowaną w sposób odmienny od tego, co zwykliśmy rozumieć pod tym gatunkiem. Wśród „modeli" są znakomitości tej miary jak Rubinstein czy wybitni polscy atomiści; Jerzy Pniewski i Marian Danysz; są fotogramy poświęcone polskim artystom, naukowcom, inżynierom i prace z reportaży zamieszczanych w różnych czasopismach. Sporą część zdjęć eksponowanych na wystawie znam dzięki miesięcznikowi „Polska", który zamieszcza wiele świetnej fotografiki. Obcowanie „bezpośrednio" z fotografią, rozpiętą na ekranie stwarza jednak znacznie pełniejsze, inne, bogatsze przeżycia.

Oczywiście, może być wiele interpretacji wystawionych prac. Ludziom przywykłym do portretów „jak żywych" nie będzie się na pewno podobał fotogram z Bogdanem Wodiczką, nieostry, działający zestawieniem dużej płaszczyzny czerni z jasną plamą twarzy dyrygenta.

Większość prac nie stwarza jednak trudności w odbiorze. Są to prace proste, czytelne, niekiedy poetyckie lub melancholijne. Podoba mi się na tej wystawie kilka fotogramów o szczególnym klimacie. Pokazał on m. in. starego ludowego rzeźbiarza Kudłę. U Holzmana stary człowiek stoi wśród swoich rzeźb, jak gdyby zażenowany, nieśmiały, stoi w pustej izbie bez ustawionego tła z regionalnych wycinanek... Znam wielu podobnych mu ludzi. Są właśnie tacy. Tadeusz Kulisiewicz na tle szlembarskiego świątka z reportażu Holzmana zamieszczonego bodajże w „Polsce", to świetny, sugestywny portret artysty. Reżyser Andrzej Wajda fotografowany w jakiejś przedziwnej, surowej architekturze wiaduktu, mostu. (Reminiscencje z „Popiołu i diamentu"?), Hono - Popławski na tle swoich „Polnych Kamieni".

Fotografikę Holzmana cechuje oszczędność w operowaniu środkami, jakie ma on do swojej dyspozycji. Potrafi on w myśl dobrej zasady plastycznej eliminować rzeczy zbędne, podporządkować szczegół zasadniczej koncepcji fotogramu, zachowując równocześnie, jak to ma miejsce w przypadku „siedzącej dziewczyny" czy „siedzących w kawiarni" (pozwalam sobie tak nazwać te prace, gdyż na wystawie nie mają one tytułu), nastrój podyktowany tematem kompozycji.

Ta umiejętność precyzyjnej, celowej kompozycji z zachowaniem świeżości spojrzenia jest dla mnie najcenniejszą wartością wystawy. Myślę, że dobrze się stało, że wystawa „Sposoby Widzenia" zbudowana została na zasadzie kontrastu. O piętro wyżej bowiem wiszą na ścianach rzeczy straszne! A więc nie tylko, znane nam doskonale „jelenie" i „makatki", ale i tak zwaną „twórczość" pojawiającą się w miejscach publicznych na zasadach urzędowych zezwoleń i przy całkowitej władz i urzędów tolerancji. Są tu więc potworki, do których strzela się na strzelnicach w „wesołych miasteczkach", gipsowe figurki, są kunsztowne eksponaty mistrzów tatuażu, są lalki straszące dzieci, są grafomańskie popisy pseudofotografów.

Pod jednym z takich fotogramów nazwanym „Poezja świateł i ruchu" autorzy wystawy napisali: „Fotografia bywa niekiedy terenem różnej działalności. Nie dajcie się państwo nabierać na grafomańskie podpisy — to są po prostu nieudane zdjęcia". Jest to zarazem jeden z nielicznych komentarzy do wystawy. Dobrze się stało, że Rzeszowskie Biuro Wystaw urządziło wystawę „Sposoby Widzenia" w Rzeszowie. Jej obecność nasuwa, niestety, zbyt wiele smutnych analogii do spraw naszych, lokalnych, dziejących się współcześnie w wojewódzkim mieście...

Chcąc eliminować ze wsi pleniącą się tam plastyczną „chałę" uporządkujmy równocześnie pod tym względem miasto... w tym również Rzeszów. Miał rację Jan Grygiel wskazując, że nonsensem jest umieszczanie na fasadzie rzeszowskiego teatru ogromnego neonu. Wtedy, jeśli dobrze pamiętam, sytuacja była jeszcze do uratowania. Dziś, nie. Kamienny portret Wandy Siemaszkowej zdążono oplątać neonowym fiolecikiem... Stało się to za państwowe pieniądze, dzięki aktywności państwowego przedsiębiorstwa „Reklama". W ogóle działalność wychowawczo-plastyczna tej instytucji zasługuje na bliższe zainteresowanie się czynników odpowiedzialnych za wygląd estetyczny miasta. Niedawno byłem świadkiem zamontowania nad restauracją „Rzeszowska" potężnego neonu, reklamującego walory znakomitej kuchni tej restauracji. (Słusznie!). Aby jednak połączyć elementy patriotyczno-lokalne z wymogami reklamy placówki zaprojektowano w neonie herb miasta Rzeszowa umieszczony nad miską, z której falowały ku górze znakomite zapachy. Wisiał więc ten herb w zupie, aż znalazł się w końcu ktoś rozsądny, kto usunął z konstrukcji neonu miskę i falujące zapachy...

* * *

Wystawę „Sposoby widzenia" powinien zobaczyć jak najszerszy krąg widzów, powinni ją zwiedzić w szczególności wszyscy ci, którzy mają coś do powiedzenia w sprawach estetycznego kształtowania gustów i zainteresowań społeczeństwa, a więc nie tylko pedagodzy i wychowawcy, ale i handlowcy, dyrektorzy, i główni księgowi...

Skoro mamy pretensje do domorosłych pacykarzy produkujących „jelenie na rykowisku", mamy prawo żądać, by nie robiono ich odpowiednika za państwowe pieniądze, za pośrednictwem urzędowych zezwoleń pozwalających na produkcję gipsowych „cudów" w postaci bocianów, skaczących koni czy zezowatych Kościuszków.

# ETYKA MARKSISTOWSKA

Najogólniej można powiedzieć, że etyka marksistowska ma swą stronę opisową i stronę wartościującą. Marksistowskie opisowe rozważania dotyczą moralności, wprawdzie niczego nie zalecają ani nie ganią, ale też nie pozostają bez wpływu, nie są neutralne wobec różnych systemów moralnych. Marksistowskie koncepcje dotyczące pochodzenia, istoty i rozwoju moralności były swojego czasu przyczyną wielkiej wokół tego wrzawy i pomawiania marksizmu o amoralność.

Karol Marks, który zaczął szczegółowo analizować kwestię ideologii doszedł do wniosku, że różne jej postacie nie są samoistne ani automatyczne, lecz powstają w ścisłym związku z dziedziną życia społecznego — z jego strukturą ekonomiczno-społeczną.

Etyka marksistowska wynika z dwóch zasadniczych przekonań. Po pierwsze założeniem tej etyki jest całokształt marksizmu. Cały system moralny wiąże się z marksistowską interpretacją społeczeństwa, jego historii i tendencji rozwojowych. Szczególnie ważne jest uznanie społeczeństwa kapitalistycznego za ostatnie społeczeństwo oparte na przeciwieństwach klasowych i wyzysku człowieka przez człowieka.

Najbardziej ogólną odpowiedź dał Lenin na III Zjeździe Komsomołu, gdy mówił, że w naszych warunkach moralne jest takie postępowanie, które sprzyja zwycięstwu socjalizmu, niemoralne zaś to które je opóźnia. Sformułowania powyższego nie można interpretować w sposób wąski. Nie można np. interpretować go w sensie uświęcania środków przez cel. Bowiem zgodnie z intencjami Marksa socjalizm, poza tym, że jest historyczną koniecznością, jest moralnie aprobowany jako ustrój, w którym żywy, odczuwający człowiek będzie czuł się — mówiąc skrótowo — z różnych względów szczęśliwy. Dlatego też nie można uznać za moralne takiego postępowania, które w dokonaniu przemian społecznych nie liczy się absolutnie z człowiekiem. Postępowanie takie nie tylko nie może być aprobowane moralnie, lecz również nie może prowadzić do zwycięstwa.

* * *

Moralność komunistyczna jest więc przede wszystkim moralnością o charakterze społecznym. Oznacza to, że wśród jej wymogów przeważają zalecenia nakazujące człowiekowi wrażliwość na krzywdę i cierpienie ludzi i w związku z tym walkę o właściwy kierunek przemian społecznych. Najważniejszymi więc wymogami tej etyki — mówiąc skrótowo — są wymogi aktywności, solidarności z wszelkimi ruchami społecznymi, mającymi na celu wyzwolenie człowieka, kierowanie się intencjami altruistycznymi, pryncypialności i ideowości.

Obok wymogów o charakterze moralnym, etyka marksistowska zawiera szereg wymogów wynikających z potrzeb walki o realizację społecznego ideału, a więc wymóg ciągłego pogłębiania swych wiadomości i sprawności organizacyjnych, umiejętności agitacji i propagandy oraz oddanie sprawie.

Wymogi te mają różny charakter, w zależności od tego, do kogo się je stosuje. Jest oczywiste, że dążymy do tego, by w jak największym stopniu i jak najwięcej członków naszego społeczeństwa kierowało się na co dzień w swym postępowaniu i działaniu zasadami moralności socjalistycznej. Jest to jednak cel, do którego dopiero dążymy. Drogą do jego osiągnięcia jest to, by ludzie przynajmniej kierowali się zasadami uczciwości i postępowości, by byli związani z najogólniejszymi założeniami socjalizmu.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wśród wymogów i wskazań moralności socjalistycznej nie może zabraknąć ogólnoludzkich norm moralnych.

Często mówi się, że aby być komunistą, należy przede wszystkim być człowiekiem prawym. I istotnie nie może być komunistą ktoś, kto nie jest człowiekiem prawym, podobnie jak trudno zabierać się do wyższej matematyki nie znając podstaw algebry. Bowiem nakazy wynikające z aprobaty celu socjalistycznego są, niejako wyższym piętrem moralności, której fundamentem są elementarne normy moralne.

Opracował: ST. RYBARSKI

## W Łodzi na ulicy Łąkowej

# Za kulisami fabryki snów

Gdy w Łodzi biją dzwony na Łąkowej, to już podobno nie wiadomo teraz g d z i e biją: czy — jak zwykle — w kościele, czy też naprzeciwko, na 4-tej hali, u Petelskich, którzy kręcą tam właśnie „Drewniany różaniec" w/g powieści N. Rolleczek. Zdjęcia do filmu wprawdzie już się kończą, ale powściągliwi, jak wszyscy realizatorzy przed premierą, Petelscy przyznają tylko, że „doskonalszej Natalii (rola główna) — kreuje ją Elżbieta Karkoszka, studentka Krakowskiej Szkoły Teatralnej — nie można było sobie wyobrazić".

Co zaś do tych dzwonów to... jest oczywiste łgarstwo. Wiadomo bowiem, że właśnie czwarta hala w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych jest najnowocześniej wyposażona, m. in. w dźwiękochłonne urządzenia wykluczające wzajemną słyszalność odgłosów z zewnątrz i wewnątrz hali. Są to naturalnie urządzenia kosztowne, choć nie najdroższe spośród tych, jakimi dysponuje w Łodzi Wytwórnia Filmów Fabularnych. A jeżeli łączny majątek wytwórni szacuje się dziś na z górą ćwierć miliarda złotych, to same budynki wraz z aparaturą warte są tu przeszło 150 milionów złotych. Tylko, że... nie o to teraz chodzi.

Ani o to też, że — jak powiadają inni — z okien plebanii, po sąsiedzku, przez ulicę, można było kiedyś widzieć na własne oczy jak to „jeden goły faraon z włócznią w ręku i koroną pod pachą przebiegał z jednej hali zdjęciowej do drugiej wołając „o rany — gdzie mój rydwan..." Jest to jednak niestety tylko jeszcze jedno urocze „przywidzenie" więcej, chociaż egipskie wozy bojowe i fragmenty świątyń, włócznie, łuki, a nawet sfinksy zostały już rzeczywiście od dawna przez pracownie WFF wykonane. Mimo to:

1) rola Ramzesa w wielkim superfilmie „Faraon" realizowanym przez J. Kawalerowicza wg powieści B. Prusa pozostaje wciąż jeszcze tajemnicą realizatorskiego zespołu „Kadr". A także — spodziewaną petardą sensacji w polskim świecie aktorskim;

2) zdjęcia do filmu zaczęły się w końcu maja. I to nie na terenie wytwórni w Łodzi, lecz na pustyni Kara-Kum, gdzie (wespół z radzieckimi kooproducentami) wybrano już i przygotowano obszar 24 km kw., na którym w iście egipskim upale (do 50 st. C) rozegra się dramat „Faraona";

3) widzenie od strony ulicy Łąkowej czegokolwiek, co dzieje się w wytwórni bez radaru w oku jest w ogóle niemożliwe. A to z powodu wysokich (9—13 m) ścian czterech hal produkcyjnych (o powierzchni od 200 do 900 m kw.) oraz innych budynków zaplecza, których zagęszczenie w łódzkiej wytwórni wydaje się doprawdy wyjątkowe.

Zamknięta na trzech i pół hektarach (pomiędzy — wspomnianą już parafią; parkiem miejskim i tkalnią) i pozbawiona raczej szans na dalszą ekspansję terytorialną, łódzka wytwórnia filmowa (pomimo całej nowoczesności, swego wyposażenia, które plasuje ją w średniej klasie europejskich wytwórni) pod względem zajmowanej przestrzeni pozostaje, po prostu — kopciuszkiem. Czechosłowacki „Barandov" zajmuje np. obszar 20-krotnie większy, nie mówiąc już o „Defie", czy 200 hektarach terytorium „Mosfilmu", które zresztą stale się powiększa.

Wrażenie ciasnoty w łódzkiej wytwórni potęgują zapewne trwające tu wciąż prace budowlane. Jednakże już w lipcu br. wytwórnia otrzyma końcową część głównego bloku zaplecza (wraz z salą synchronizacyjno-produkcyjną, składami kostiumów i sprzętu oświetleniowego, garderobami, stołówką, panoramiczną salą projekcyjną itp.) oraz — w stanie surowym — murami tzw. Pałacu Dźwięku. Będzie to wysoce specjalistyczna, a zarazem prototypowa w Polsce jednostka produkcyjna. I na niej kończy się w zasadzie trwający nieprzerwanie od 1956 r. okres rozbudowy WFF w Łodzi.

— Czeka nas jeszcze modernizacja obiektów najstarszych, adaptowanych naprędce przed 20 laty w dawnej hali sportowej — mówi dyr. W. Budzyński. — Ale to dopiero po roku 1965. Myślę zresztą, że ten pościg za pełną sprawnością techniczną naszej wytwórni potrwa nieco dłużej, a kosztować musi około 50 milionów złotych. Ale... że się opłaci.

Optymizm dyrektora nie wydaje się łatwy. Wspomnijmy, iż „Krzyżacy" — najdroższy przecież w dziejach WFF film (33 miliony złotych), tzn. siedmiokroć droższy od przeciętnego, przyniósł równocześnie największe (144 miliony zł) wpływy, w tym poważną sumę dewiz.

W łódzkiej „fabryce snów" produkuje się dziś około 16 filmów rocznie. Jest to akurat dwa i pół raza tyle co przed 10 laty, a zaledwie jedna-trzecia tego, co będzie się tu robić... już za rok. Licząc oczywiście wszystkie tytuły — 20 filmów fabularnych i 30 telewizyjnych, które wtedy WFF wyprodukuje.

* * *

...inaczej, widzę to zupełnie inaczej panie Andrzeju. Ten fragment oberży w Saragossie jest nazbyt barokowy, a za mało hiszpański. Niech pan szuka dalej...

Był to głos scenografa na temat wizji plastycznej „Popiołów", kolejnego polskiego superfilmu. Reżyseruje go Wajda.

Na piętrze, w niewielkiej izdebce szpakowaty pan, a jest nim Anatol Radzinowicz, autor szaty scenograficznej 40 polskich filmów, z maksymalnym ociąganiem zwierza się ze swych kłopotów.

— Akcja „Popiołów" dzieje się w tylu krajach, wśród wielu krajobrazów — i to jest jedna trudność. A że dzieje się ona naprawdę, jak wszystko u Żeromskiego, więc chcieliśmy z Wajdą, aby widz odbierał prawdę, a nie wrażenie, że opowiadamy mu „bajkę z Żeromskiego" — i to jest trudność druga. Szukaliśmy np. hiszpańskiego pejzażu w Bułgarii. I pokazano nam wspaniały krajobraz, ale właśnie... za wspaniały, za bogaty. Dobry może do filmu o „Żeglarzu Sindbadzie" albo o „Ali-Babie", ale nie do surowej ziemi hiszpańskiej z „Popiołów". I to jest następna trudność. Kiedy kręciliśmy swego czasu „Młodość Chopina" to budowaliśmy w wytwórni c a ł ą Warszawę. A teraz — nie. Teraz chcemy, aby „grały" prawdziwe mury, bruki, latarnie tego miasta, które już wtedy świat uznawał za urodziwe. Trzeba nam tylko będzie ukryć tu i ówdzie: asfalt, szyny tramwajowe, wyloty kanalizacji itp. akcesoria, których Warszawa czasów napoleońskich jeszcze nie znała. Kolejny kłopot, to brak dokumentacji, np. jak wyglądała loża masońska. Nieliczne sztychy francuskie i niemieckie, jakimi dysponujemy, prezentują okrutnie naiwne „efrejezy". Tylko błagam, proszę mnie już o nic więcej nie pytać. Kłopotów dużo — a czas nagli... I wytwórnia. O tak, właśnie tak, chyba teraz jest pan na dobrym tropie, panie Andrzeju...

Nie muszę chyba dodawać, że ostatnie słowa p. Radzinowicza nie były skierowane do mnie.

STEFAN HENEL

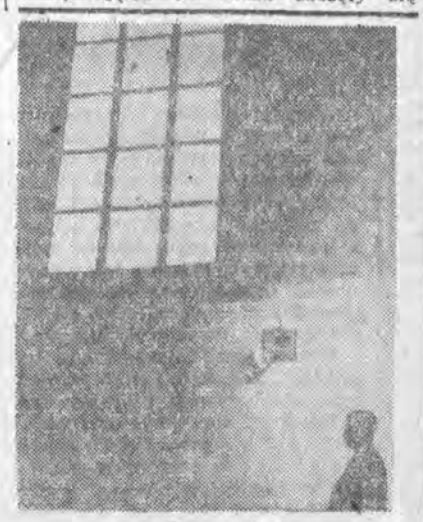

*Z wystawy*
*Zdjęcia: MICHAŁ KOPEĆ*

# Ostatnia powieść Piętaka

Zmarły tragicznie przed paru miesiącami poeta i prozaik Stanisław Piętak — na krótko przed śmiercią napisał powieść „Odmieniec". Ten jego ostatni utwór ukazał się obecnie nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. „Odmieniec" jest powieścią psychologiczną. Bohaterami jej są ludzie wsi, uwikłani w tragiczne sytuacje życiowe i konflikty, których nie potrafią rozwiązać.

Oprócz tej ostatniej powieści, LSW wydała również tom „Poezji zebranych" Stanisława Piętaka. Przedstawiony tu został cały jego dorobek liryczny od debiutanckiego tomiku „Alfabet oczu" (1934) poprzez głośne zbiory „Ziemia odpływa na zachód", „Przymierze z nowymi laty" do ostatniego, wydanego w 1963 r. tomiku poezji „Zaklinania".

A. ŁOSICKI

# TOWARZYSZE ZNAD SEKWANY

ŻYJEMY — to jest zupełnie naturalne — przede wszystkim własnymi problemami. Mamy dużo własnych spraw teoretycznych i praktycznych — na tle naszej socjalistycznej gospodarki, naszych rozwijających się po określonej już drodze, socjalistycznych stosunków społecznych, dyskutujemy nad treścią i formą naszej określonej już kultury socjalistycznej. A co dzieje się u towarzyszy — komunistów z krajów kapitalistycznych — francuskich, włoskich, angielskich itd.? Czy znamy ich świat myśli, przeżyć, namiętności, ich trudności w dotrzymywaniu kroku zmieniającemu się światu?

Miałem niedawno okazję dokładniejszego przestudiowania szeregu materiałów i dokumentów z życia i działalności partii francuskiej. „Po drodze" też zaznajomiłem się z tym, co się dzieje u francuskich socjalistów. I jedne i drugie materiały stanowiły nie więcej niż publikacje prasowe, rzecz tylko w tym, że były one zebrane, że obejmowały szereg miesięcy. Otóż i te materiały nasuwają refleksje: jakże świat się zmienia!

W miasteczku francuskim Longwy w Lotaryngii odbyły się niedawno wybory uzupełniające do francuskiego Zgromadzenia Narodowego. Już to, że w pierwszej turze głosowania kandydat — komunista uzyskał ponad 47 proc. głosów, było dla Francji — dla Francji, a nie tylko dla Longwy — zaskoczeniem, okręg ten bowiem uchodził za bastion gaullizmu. Fenomen polegał jednak na czymś innym: w drugiej turze komunistę poparli socjaliści, radykałowie i inne ugrupowania, należące do — szeroko we Francji pojmowanej — lewicy, i do Zgromadzenia Narodowego wszedł komunista, a nie gaullista. Otóż, czy taka rzecz była możliwa 15, 10, ba! nawet tylko 5 lat temu? W owych latach naturalnym biegiem rzeczy byłoby sprzymierzenie się wszystkich partii przeciw komuniście. Wtedy naturalnym biegiem rzeczy było dążenie wszystkich partii, w tym również z owej specyficznej lewicy, do postawienia komunistów poza nawiasem życia politycznego kraju. Cóż tu dużo mówić — przecież to przywódca socjalistów francuskich, Guy Mollet, uczestniczył w swoim czasie w opracowywaniu takiej ordynacji wyborczej, która zredukowała do minimum reprezentację parlamentarną partii komunistycznej, mimo że otrzymywała ona największą liczbę głosów.

Zmieniło się. Czy tylko we Francji? — Nie. Idea pokojowego współistnienia zajmuje miejsce zimnej wojny, a to musi odbijać się na stosunkach wewnętrznych poszczególnych krajów. Już nie daje skutków straszenie komunizmem, widmem frontu ludowego itd.

* * *

Ale miałem mówić nie o przemianach w ogóle, lecz o tym, co się dzieje u naszych towarzyszy francuskich. Skoro jednak wspomniałem również o przemianach zachodzących wśród socjalistów francuskich, to kwestią szczególnie interesującą jest, co dziś o f i a r o w u j ą i m komuniści.

We Francji są piękne tradycje przedwojennego Frontu Ludowego i współpracy obu partii w rządzie w pierwszych latach powojennych. Nie chodzi jednak tylko o nawiązywanie do tych tradycji, ani o powtórzenie tego, co już było. Myśl polityczna komunistów francuskich, jak i w ogóle międzynarodowego ruchu komunistycznego, bardzo rozwinęła się, dojrzała, pogłębiła się. Jednym z nowych jej elementów jest, jak wiadomo, uznanie możliwości pokojowej drogi do socjalizmu. Dla partii komunistycznych w krajach kapitalistycznych ten nowy element nie oznacza tylko tezy teoretycznej, musi on znajdować odbicie w myśleniu i działaniu politycznym na co dzień. Oznacza on przede wszystkim, zwłaszcza tam, gdzie istnieją wpływowe partie socjaldemokratyczne, ukształtowanie właściwego stosunku do tych partii, stosunku nie tylko „na dziś", lecz i „na jutro". Czy socjaliści są (lub mogą być) sojusznikami tylko dziś, to jest w walce o reformy społeczne, o demokrację w ramach państwa burżuazyjnego i o pokój, czy też będą oni sojusznikami również jutro, po zdobyciu władzy, gdy będzie się budowało socjalizm? Dalszą konsekwencją tego pytania jest inne: czy w obecnej epoce i w takich konkretnych krajach, jak np. Francja, Włochy i inne, okres przejścia do socjalizmu musi cechować istnienie jednej tylko partii?

Na te pytania dali już odpowiedź, tak ważną z punktu widzenia nie tylko przyszłości, ale i działalności codziennej, komuniści włoscy. Teraz odpowiedź tę dali też towarzysze francuscy. Tow. Waldeck Rochet, obecny sekretarz generalny KC FPK, mówił na ostatnim, XVII zjeździe tej partii: „Wielkie przemiany, jakie nastąpiły na świecie i we Francji, stworzyły warunki bardziej sprzyjające porozumieniu między komunistami i socjalistami — zarówno już dziś, jak też na przyszłość". Mówił on: „Właśnie, aby przyczynić się do pomyślnego marszu w kierunku socjalizmu drogą pokojową, partia nasza — która odrzuciła koncepcję istnienia jednej tylko partii — proponuje porozumienie między partią komunistyczną a partią socjalistyczną nie tylko na dziś, lecz również na przyszłość, oraz wspólną walkę o budowę socjalizmu".

Wspomniałem wyżej, że to stanowisko jest dorobkiem międzynarodowego ruchu jako całości. Już bowiem w Oświadczeniu moskiewskiej narady partii komunistycznych i robotniczych z 1960 roku czytamy, że „partie komunistyczne występują za nawiązaniem współpracy z partiami socjalistycznymi zarówno w walce o polepszenie warunków bytu ludzi pracy, o rozszerzenie i utrzymanie ich praw demokratycznych, zdobycie i obronę niepodległości narodowej, o pokój między narodami, jak i w walce o zdobycie władzy i zbudowanie socjalizmu".

To właśnie — więcej niż w okresie Frontu Ludowego i pierwszych lat powojennych — ofiarowują dziś komuniści francuscy (i włoscy, i inni) socjalistom: nie tylko „na dziś", ale i „na jutro". W praktyce, w codziennej działalności oznacza to dla komunisty francuskiego widzenie w towarzyszu-socjaliście, mimo różnic ideologicznych, sojusznika nie chwilowego, lecz stałego, z którym w przyszłości razem będzie zdobywał władzę i razem zmieniał ustrój swego kraju.

Zresztą chodzi nie tylko o socjalistów. Istnieje również — tak dobrze nam znany — problem wierzących i niewierzących. Członek Biura Politycznego KC FPK, tow. Garaudy, mówił na ten temat w lutym br.: „Komuniści i chrześcijanie mogą nie tylko wspólnie prowadzić walkę klasową przeciwko systemowi kapitalistycznemu w celu zbudowania socjalizmu, ale mogą nawet wspólnie pracować nad zbudowaniem społeczeństwa komunistycznego, bezklasowego".

Nigdy, nawet w okresie największego napięcia zimnej wojny, nie udało się reakcji francuskiej izolować komunistów francuskich. Ta walcząca i bohaterska partia w pełni zachowała swoje siły w okresie największego rozwydrzenia kampanii antykomunistycznej. Teraz zaś, gdy tyle się w świecie zmieniło, i gdy jednocześnie partia, w oparciu o własny bogaty dorobek i dorobek myśli politycznej międzynarodowego ruchu komunistycznego, odrzuciła dogmatyczne błędy, od których, jak i cały ruch, ongiś nie była wolna, jej autorytet jest większy niż kiedykolwiek, stanowi ona wielką siłę, która liczy się w życiu politycznym kraju.

Partia francuska niedawno odbyła swój kolejny zjazd. Nigdy jeszcze po wojnie żaden z poprzednich zjazdów nie wywołał takiego zainteresowania w całym kraju, w całej prasie francuskiej. Żaden też z dotychczasowych zjazdów nie wywołał tak przyjaznej reakcji we francuskiej partii socjalistycznej. „Zbliżenie w swoim czasie niemożliwe, a jeszcze trudne wczoraj, może być teraz łatwiej rozpatrywane" — ocenia tę reakcję mieszczański „Monde".

„Pokojowa droga"... Nie stanowi ona ani krótkiej, ani prostej drogi. Komuniści w krajach kapitalistycznych, którzy chcą nią kroczyć w przyszłości, szukają jej już dziś.

# „PANNA WODNA" dobiła do Przemyśla!

Zdając sobie wyraźnie sprawę z wyjątkowego uteatralnienia, jakim odznacza się Przemyśl, jak również z wieloletnich tradycji tamtejszego zespołu teatralnego „Lutnia", mimo to z dużymi wątpliwościami wybierałem się na operetkę „Panna Wodna", zrealizowaną z okazji 20-lecia PRL przez wspomnianą „Lutnię", działającą przy Międzyspółdzielnianym Ośrodku Kulturalno-Oświatowym w Przemyślu. Najwięcej obaw nastręczała realizacja na amatorskiej scenie spektaklu muzycznego, obliczonego głównie na efekt bogatych strojów, interesujących układów tanecznych oraz rutyny scenicznej i wokalnej licznego grona wykonawców.

* * *

Na wstępie trzeba zdemaskować pewną plotkę. Rozeszła się ona szybko po mieście, prawdopodobnie nie bez inicjatywy zwolenników jednego z konkurencyjnych obozów Melpomeny, której przemyscy miłośnicy od wielu lat — ze szkodą dla samych siebie — nie mogą (mimo raz po raz podejmowanych prób) znaleźć tzw. platformy na dłuższą metę obliczonego porozumienia.

Plotka ta usiłuje w pewnym sensie zdyskredytować rezultat pracy spółdzielczych amatorów sceny. Stara się ona zasugerować miejscową opinię publiczną, że j e d y n y m źródłem powodzenia jest nieproporcjonalna do efektu suma nakładów finansowych na realizację tego widowiska. Wymienia się nawet równie dokładną, co i okrągłą sumkę... dwustu tysięcy złotych.

A tymczasem (zgodnie z oświadczeniem organizatorów) koszty przygotowawcze — jakkolwiek wysokie jak na amatorskie szablony — zamknęły się z a l e d w i e w trzy razy mniejszej kwocie siedemdziesięciu tysięcy złotych. Świadomie użyłem tu słowa „zaledwie", gdyż chciałem przez to wyeksponować różnicę między plotką i rzeczywistością, a jednocześnie najzupełniej jednoznacznie stwierdzić, iż suma ta — jak na osiągnięte rezultaty — jest naprawdę niewielka.

Obliczając w przybliżeniu oceniam, że w tym widowisku na wyobraźnię widza oddziaływuje kolorystyczna tęcza około 100 kostiumów. Nic nie zostało wypożyczone, wszystko kupiono lub zrobiono własnymi siłami. Rzeczywiste nakłady finansowe na kostiumy — to głównie tylko koszt materiałów, gdyż robociznę w większości zaofiarowały same aktorki — amatorki, które od dłuższego czasu wiele wolnych wieczorów przeznaczały na szycie i haftowanie. Było to ich zobowiązanie z okazji 20-lecia PRL. Za biegłość we władaniu igłą należą się im pierwsze brawa przy otwartej kurtynie, podobnie jak i ich „wodzowi w spódnicy", ob. St. Końskiej — kierowniczce artystycznej Międzyspółdzielnianego Ośrodka KO w Przemyślu i zarazem projektodawczyni tych efektownych kostiumów.

Celem rozproszenia ostatnich wątpliwości trzeba tu wyjaśnić, że niezależnie od trudnego do przeliczania w „dźwięczącej mamonie" efektu artystycznego, istnieją całkowicie realne perspektywy wypracowania całej sumy nakładów finansowych, o czym zdaje się świadczyć powodzenie pierwszych spektakli granych w Przemyślu oraz napływające już zamówienia na gościnne występy.

* * *

Niewątpliwie realizatorzy tego interesującego widowiska nie ustrzegli się od popełnienia pewnych błędów warsztatowych. To fakt, ale bezbłędnych przedstawień zazwyczaj nie ogląda się przecież nawet na scenach zawodowych. Najważniejsze, że końcowy efekt jest w tym wypadku najzupełniej zadowalający.

Szkoda, że wokalne dyspozycje przytłaczającej większości wykonawców okazały się idealnym przykładem niedomogów sił w stosunku do zamiarów. Głosowo — nawet jak na przeciętną poziomu scen niezawodowych — spektakl ten był raczej słaby. Z niespodziewaną pomocą nadeszli tu sympatycznym wykonawcom autorzy utworu (kompozytor — Jerzy Lawina - Świętochowski oraz libreciści — J. Słotwiński i W. Jastrzębiec wg pomysłu J. Krzewińskiego i L. Brodzińskiego) którzy wbrew trochę reklamiarskiemu zaliczeniu swego dzieła do gatunku operetek, „zrodzili" najzwyklejszą w świecie komedię muzyczną, której rodzaj po wojnie wyszedł z obiegu na naszych scenach. A szkoda!

* * *

Jasnym punktem obsady wokalnej jest bezspornie uzdolniona B. Marech w świetnej roli aktoreczki rewiowej Miss Molly, a raczej Anielci Gagatek, która w rezultacie pewnej „kolacji z konsekwencjami" znalazła się na Hawajach. Utalentowana ta aktorka-amatorka (w „cywilu" asystentka stomatologa) czuje się na scenie jak „ryba w wodzie" i imponuje wręcz prawie zawodowymi zaletami dobrej wodewilistki. Dobrą parę z B. Marech stworzył A. Bechawski jako radiotelegrafista. Brawa przy otwartej kurtynie otrzymywali zasłużenie — za charakterystyczną interpretację swych postaci — zwłaszcza K. Steblińska (jako komiczna agentka biura podróży) oraz trójka wesołych marynarzy (J. Błażkowski, Z. Walow i J. Dziukiewicz). Z pozostałych na wyróżnienie zasłużyli nie tylko K. Korytko i Z. Stypułkowski, ale i pozostali wykonawcy.

Reżyserka całości H. Kropińska szczególnie umiejętnie rozpracowała sceny zbiorowe i zręcznie ustawiła sytuacje (np. interesująca scena burzy w trzecim obrazie). Można mieć do niej pretensje jedynie o zbyt słabe tempo i niezlikwidowanie pewnych dłużyzn. Opracowanie muzyczne (Z. Herembeszta) interesujące, ale zostało zaprzepaszczone przez nie zawsze czysto brzmiące wykonawstwo.

* * *

W rezultacie opłacił się trud aktorów — amatorów przemyskiej „Lutni". Należy się im duże uznanie. Zrealizowana z okazji 20-lecia PRL „Panna Wodna" powinna na dłużej zarzucić kotwicę w Przemyślu, a także dotrzeć i do innych „portów" Rzeszowszczyzny.

RYSZARD STACHNIK

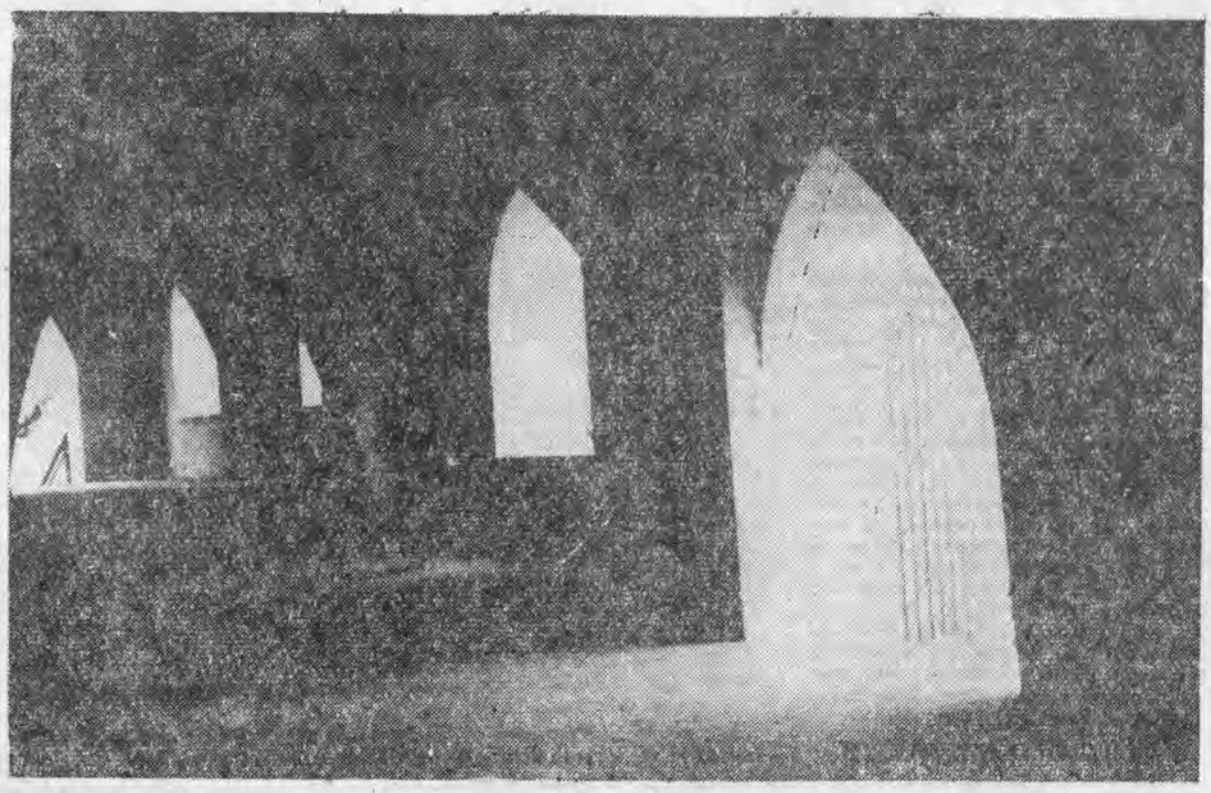

*W Przemyślu* *Fot.: MICHAŁ KOPEĆ*

O języku ojczystym

# ROK PRZEDZIERZGNIĘTY W LATA

Mamy lato, okres względnego odpoczynku, kiedy to człowiek wyzwolony z nękających go spraw dnia codziennego, zamyśla się częściej nad niektórymi problemami. Wynikiem takich rozważań może być pytanie gramatyczne: dlaczego rzeczownik ROK, oznaczający okres dwunastu miesięcy, w liczbie mnogiej przybiera całkiem odmienną postać LATA, o której wiadomo, że jest nazwą pory roku.

W naszym języku jest kilka wyrazów, które w liczbie mnogiej przybierają inną formę niż w l. pojedynczej, np. CZŁOWIEK, ale: LUDZIE i nasz ROK, ale: LATA. Te dość jednak wyjątkowe przebiórki mają uzasadnienie historyczne i są wtórne, bo dawniej było inaczej.

Dawniej nazwa okresu 12 miesięcy brzmiała LATO, w liczbie mnogiej (jak dziś) równolegle do tego: LATA. Wyraz LATO miał więc w l. poj dwa znaczenia: 1. (podstawowe) „pora roku obejmująca miesiące czerwiec, lipiec, sierpień" i 2. (wtórne) „okres dwunastu miesięcy od stycznia do grudnia". LATEM nazywano rok na tej samej zasadzie, co np. w ludowych gwarach dzisiaj słowem NIEDZIELA nazywa się cały tydzień, czyli czas zawarty między jedną a drugą NIEDZIELĄ.

Obok wyrazu LATO istniał dawno w języku (nawet prasłowiańskim) wyraz ROK oznaczający „wyznaczony termin", „omówiony termin". Słowo ROK wiąże się znaczeniowo i etymologicznie z czasownikiem RZEC, podobnie jak TOK z CIEC. ROKAMI nazywano dawniej w Polsce posiedzenia sądowe. Ponieważ ROKI sądowe i ROKI, tj. umowy terminowe, liczy się zwykle okresami rocznymi, tj. realizowano je albo od zimy do zimy, albo od lata do lata, znaczenie ROKU „terminu" przesunięto na znaczenie LATA „okresu 12 miesięcy". Mogło się to stać tym łatwiej, że powoli tradycja ROKÓW sądowych zanikała, ustępując miejsca innym instytucjom.

Sam wyraz LATO w znaczeniu „12 miesięcy" czyli „rok" utrzymał się tradycyjnie dość długo, bo jeszcze w XVI wieku na pierwszych stronach drukowanych wówczas książek adres bibliograficzny podaje: LATA BOŻEGO, co jest tłumaczeniem łacińskiego ANNO DOMINI. Tak jest na stronie tytułowej Psałterza Wietora z r. 1535, wydanego w Krakowie. Potem zmieniono to na ROKU PAŃSKIEGO.

S. RECZEK

## na wprost

# Uroda życia

*Racjonalista — człowiek, który przywykł kierować się zasadami logiki i według nich oceniać drobne wydarzenia dnia — ma dzisiaj dość trudne życie. Nie wiadomo skąd pojawiają się fakty, decyzje, opinie tak zaskakujące brakiem sensu, iż na nic wszystkie próby rozumnej interpretacji. „Bez wodki nie rozbieriosz"! Zaczynają nas osaczać opary absurdu lub co najmniej twory dziwnego, irracjonalnego pochodzenia.*

*Oto dowiaduje się ów racjonalista o osobliwej uchwale Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w pobliskim miasteczku. Postanowiono tam zrezygnować z ulokowania na rynku i skwerkach wykonanych uprzednio ławek, gdyż kobiety z owego grodu plotkowałyby na ławeczkach, zaniedbując swoje obowiązki. Ojcowie miasta łudzili się, podejmując tę chytrą uchwałę, że plotkowanie na stojąco trwa krócej i nie zakłóca w takim stopniu normalnego trybu życia. (Na marginesie — czy aby władze miejskie w Rzeszowie nie zaraziły się tym bakcylem antyfeminizmu? Jak inaczej wyjaśnić nagłe zniknięcie wszystkich ławek na przystankach MPK? Widocznie usunięto je z obawy, że plotkujące panie zapomną o przejeżdżających autobusach i w ten sposób ucierpią i obyczaje miasta, i rentowność MPK).*

*Dowiaduje się również, że w Myczkowcach — w tym szeroko rozreklamowanym ośrodku sportów wodnych, kąpieli i wypoczynku, nie wolno nawet nogi zamoczyć w zalewie. Wolno tylko patrzeć na wodę. Należy oczekiwać, iż wkrótce zirytowani wczasowicze będą z daleka omijać Myczkowce, rozumując słusznie, iż od patrzenia mają Ocean Spokojny... w telewizji. Ten srogi zakaz powstał prawdopodobnie jako reakcja administratorów jeziora na wypadki zatonięć, które tam się zdarzyły. Tak rozumując należałoby zamknąć dla ruchu szosy, bo wielu ludzi znajduje tam śmierć, lub zabronić używania łóżek, gdyż w nich śmiertelność jest największa.*

*W myśl reguł tej irracjonalnej logiki świeże jarzyny i owoce do sklepów spożywczych i warzywniczych w Rzeszowie dostarcza się po południu, ponieważ nasze żony i gosposie potrzebują tych jarzyn rano, do gotowania obiadu. Wieczorem nikt po nie do sklepów nie przychodzi, a rano klientki otrzymują zwiędłe i przygniłe, by się im za dobrze nie powodziło.*

*Cóż ma sądzić taki biedny racjonalista o gospodarzach powiatu i miasta Jasła i ich stosunku do kultury, gdy dochodzi go wieść, iż polecono tam zniszczyć fresk nie żyjącego już artysty-malarza zamówiony kiedyś przez Prezydium PRN dla ozdobienia sali konferencyjnej. Przecież wandalizmu mógł się spodziewać w innym środowisku.*

*Cóż miał rzec wtedy, gdy oglądał witrynę jednego ze sklepów w Stalowej Woli udekorowaną z okazji święta państwowego. Na dole okna portret dostojnika państwowego — w górnej części napis wielkimi literami: „Dla ciebie miły", i niżej drobniejszymi „Codziennie upiększam twarz niezawodnymi kosmetykami ze sklepu nr 17". Czy podziwiać filuterność tej dekoracji, czy uznać ją za objaw bezmyślności i tępoty dekoratora.*

*A sposoby realizacji niektórych czynów społecznych w Rzeszowie? Tu także działa logika a rebours. Najpierw ludzie męczyli się w upale oczekiwaniem na narzędzia pracy, których było czasem 5 na 30—40 osób, później męczyli się niwelowaniem twardej, spieczonej ziemi, a jeszcze później (tak jak np. przy szkole nr 17 na Podpromiu) na uporządkowany teren wjeżdżały ciężarówki i spychacze i zaczęły to samo od początku i po swojemu.*

*W tych splotach nonsensu każda bzdura ma jakąś swoistą motywację, jakiś przewrotny związek przyczynowo-skutkowy i to jest właśnie najgorsze. Wychodzi w końcu na to, że nikt nie jest odpowiedzialny za absurd, który jednak obiektywnie istnieje. Wszyscy chcieli jak najlepiej a tak dziwnie wyszło. Powie ktoś, że może to i lepiej — elementy niespodzianki, zaskoczenia zdrowego rozsądku czynią życie ciekawsze i piękniejsze. Dziękujemy za taką „urodę życia". Nie ma to jednak jak być fideistą — wtedy się wszystko przyjmuje jako dopust boży i jest spokój.*

*JOTGIEL*

Fot. JANUSZ WITOWICZ

*KAMYCZEK DO OGRÓDKA KARYKATURZYSTY!*

# 10 lat CAF

Do odległej przeszłości należą czasy kiedy nie uważano filmu za sztukę, lecz traktowano go jako tanią rozrywkę. Stare kopie filmowe, niegdyś niemiłosiernie eksploatowane i barbarzyńsko niszczone — dziś przechowywane starannie stanowią obiekt badań naukowców — filmologów.

W czerwcu tego roku minęło 10 lat od utworzenia Centralnego Archiwum Filmowego w Warszawie. Placówka ta gromadzi nie tylko kopie filmów, ale także wszelkie materiały związane z historią kinematografii polskiej i światowej. W okresie 10 lat zebrano w ten sposób i zabezpieczono 8.200 kopii i kontrnegatywów filmów, tysiące programów i plakatów oraz scenariuszy i list dialogowych, setki tysięcy fotosów. W zbiorach znajduje się m. in. rękopis filmu Claira „Piękności nocy" ofiarowany CAF przez tego wybitnego reżysera. Biblioteka Archiwum obejmuje 6 tys. pozycji poświęconych historii, teorii i estetyce filmowej. Cenny jest zbiór starych projektorów i kamer filmowych.

Szczególnie wiele wysiłku poświęcają pracownicy Archiwum wyszukiwaniu kopii starych filmów polskich. Niestety, niewiele ich ocalało. Najstarszy eksponat to „Meir Ezofowicz", film zrealizowany przed 53 laty przez reżysera Józefa Ostoję — Sulnickiego w wytwórni „Sfinks" założonej przez Aleksandra Hertza. Czasem tego rodzaju „białe kruki" odnaleźć można w zagranicznych archiwach, np. w zeszłym roku w ten sposób natrafiono w USA na pierwszy film z Polą Negri „Niewolnica zmysłów", a w Danii na przeróbkę powieści A. Marczyńskiego „Szlakiem hańby". Ostatnio zbiory wzbogaciły się też o dwie krótkometrażówki dokumentalne nakręcone na ulicach Warszawy w ostatnich latach ubiegłego stulecia.

Szerokiej publiczności działalność CAF znana jest przede wszystkim z kina starych filmów — „Iluzjonu". W kinie tym odbędzie się z okazji jubileuszu cykl pokazów najcenniejszych pozycji krajowych i zagranicznych znajdujących się w zbiorach CAF. Imprezy rozpoczną się na otwarcie sezonu — we wrześniu br.

## Zdarzenia tygodnia

W ubiegły wtorek, 7 bm. staraniem Centralnego Biura Wystaw Artystycznych przy współpracy Wydziału Kultury Prez. WRN i BWA w Rzeszowie otwarto w stołecznej „Zachęcie" wystawę malarstwa, grafiki i rysunku członków Rzeszowskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Na wystawie eksponuje się 190 prac 30 autorów.

Wystawa wzbudziła niemałe zainteresowanie warszawskiego środowiska plastycznego.

* * *

Od kilku dni przebywa w naszym województwie grupa tancerzy Amatorskiego Klubu Tanecznego z Bekescsaba (Węgry). Są oni gośćmi Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie. Tancerze rozegrali turnieje z zespołami AKT w Krośnie, Rzeszowie i Mielcu.

Goście węgierscy wszędzie przyjmowani są bardzo serdecznie.

* * *

W dniu 8 lipca br. w Prez. WRN w Rzeszowie odbyła się narada aktywu i pracowników kultury z terenu województwa na temat zadań i głównych kierunków działalności kulturalnej i oświatowej w świetle uchwał IV Zjazdu Partii. Referat wygłosił z-ca kier. Wydziału Kultury mgr Józef Kanik. Mówca zwrócił między innymi uwagę na niedostateczne wykorzystywanie w pracy k. o. tak potężnego instrumentu, jakim jest telewizja, mówił o niewystarczającym rozwoju kultury muzycznej w naszym województwie, o słabym związku z życiem współczesnym regionalnych towarzystw naukowych, które na ogół badają tylko przeszłość. Ukazał natomiast dobre osiągnięcia w upowszechnianiu plastyki. Po dość ożywionej dyskusji naradę podsumował mgr Henryk Pasławski — sekretarz Komisji d/s Kultury KW PZPR w Rzeszowie.

## WIDNOKRĄG odpowiada

**OB. B. S. WOJKÓWKA, POW. KROSNO:** Niestety, nie skorzystamy. Utwór „Czar przyrody" jest może szczery i bezpośredni, ale bardzo naiwny i zupełnie nieudolny. Dużo błędów językowych, stylistycznych, gramatycznych, brak jakiejkolwiek konstrukcji... Te wszystkie trudności trzeba przezwyciężyć, jeśli się chce cokolwiek pisać.

**OB. ST. P. ŁAŃCUT:** „Bilet na wakacje", oczywiście do druku się nie nadaje. Ale może coś z tego kiedyś będzie? Na razie to niedojrzałe i nieoryginalne, lecz jest w tym pewna swoboda i kultura słowa, może nawet przebłyski żywej wyobraźni... Trzeba by jeszcze wiele czytać i pracować, by myśleć o sukcesach w poezji.

**OB. I. W. LESKO:** Niestety, nie będziemy drukowali. Wiersze zbyt „poetyczne", zbyt konwencjonalnie literackie. Brak w nich świeżości i prostoty, brak własnego indywidualnego wyrazu. Dużo także nieporadności myślowej i formalnej.

## WOLNOŚĆ NADCHODZIŁA OD WSCHODU

# Marsz do stóp Karpat

**Wolność u wrót Rzeszowa — Kreishauptmann mobilizuje — Wojska generała Turoczkina nad Wisłokiem.**

Podczas gdy północne skrzydło wojsk 1 Frontu Ukraińskiego popędziło w ostatnich dniach lipca 1944 roku nad Wisłę i po jej sforsowaniu toczyło ciężkie boje o przyczółek baranowski, pozostałe armie marszałka Koniewa kontynuowały natarcie na południu, spychając powoli wojska niemieckie cofające się na zachód, bądź też ku przełęczom karpackim, gdzie pośpiesznie budowano umocnienia, pędząc do robót cywilną ludność.

W Rzeszowie jeszcze przed tym wśród Niemców wybuchła panika. Już 23 lipca chyłkiem opuścili miasto pierwsi reichs- i volksdeutsche, a w ślad za nimi ruszyli ku Krynicy lub na Dębicę hitlerowscy dygnitatarze. Wśród nich Kreishauptmann Ehaus, oficer Sicherheitsdienstu — kat Rzeszowa, Zwięczycy i okolicznych wiosek, oraz Stadtkomissar Pavlu. Ci dwaj powrócą jeszcze na krótko, a Ehaus, zbrodniarz, któremu ledwo udało się uniknąć śmierci z rąk partyzantów wpadnie na pomysł mobilizacji Polaków do... obrony Rzeszowa przed Armią Radziecką.

O tej „mobilizacji" opowiadał mi jeden z pracowników poczty rzeszowskiej, który wraz z grupą kolegów zapędzony został do ratusza, gdzie Ehaus pod hukiem odległych dział namawiał ludzi, którym wyrządził tyle krzywd, i którzy przez kilka lat musieli patrzeć na jego zbrodnie — do współpracy z Wehrmachtem. O podobnym fakcie wspomina w swej broszurce: „Z dziejów Rzeszowa 1939—1944" doc. Franciszek Kotula, podając relację kpt. pożarnictwa Stanisława Komorowskiego, według której Ehaus namawiał do współpracy członków tzw. Beiratu, proponując, by Polacy bronili części zamku i to tej, gdzie znajdowało się więzienie — katownia tysięcy patriotów rzeszowskich.

Oczywiście nikt z propozycji Ehausa nie skorzystał, a wkrótce i on sam dał drapaka. Niestety, w ostatniej chwili hitlerowcy uprowadzili jeszcze z sobą grupę mężczyzn, mieszkańców miasta.

Oddziały radzieckie ciągnęły na Rzeszów z dwóch stron. Jedne — lewoskrzydłowe dywizje 13. armii gen. Puchowa, oskrzydlały miasto od północy, wyzwoliwszy Sokołów, a następnie Głogów. Z linii Przeworsk — Kańczuga ciągnęła na Tyczyn i Rzeszów 60. armia dowodzona przez gen. płk. P. A. Kuroczkina. Stanęła ona nad Wisłokiem w niedzielę, 30 lipca, rozpoczynając około południa artyleryjski pojedynek z Niemcami broniącymi miasta. Pojedynek ten trwał dwa dni, po czym ruszyły przez Wisłok w okolicy Lisiej Góry czołowe oddziały piechoty. Niemcy zagrożeni jednocześnie od północy wycofali się z miasta, do którego 2 sierpnia wkroczyły oddziały radzieckie.

Lewym sąsiadem wojsk generała Kuroczkina była 38. armia gen. płk. K. S. Moskalenki. Armia ta po bardzo ciężkich walkach w rejonie Lwowa nadciągnęła w okolicę Mościsk i Przemyśla, skąd ruszyła do dalszego natarcia na Birczę, Dynów i Brzozów. 29 lipca wyzwolony został Dynów, 31 lipca Bircza, a 3 sierpnia Brzozów. Następnie na rozkaz marszałka Koniewa armia ta przeszła do obrony na linii Dąbrówka — Haczów — Odrzykoń — Wojaszówka — Gogołów, prowadząc jedynie lokalne walki.

Na Sanok, który wyzwolony został 3 sierpnia nacierały prawoskrzydłowe oddziały 1. armii gwardii, którą dowodził gen. płk. A. A. Greczko (dziś marszałek, dowódca wojsk Układu Warszawskiego).

Do 5 sierpnia 1944 r. front w południowej części naszego województwa ustabilizował się na równoległej niemal do jego górskich granic linii: Jureczkowa — Sanok — Odrzykoń — Lubla — Ropczyce. Z niewielkimi zmianami pozostanie on na tej linii do końca miesiąca, a właściwie nawet do początku września. Główny bowiem wysiłek, decydujące walki, toczyć się będą dalej na północnym zachodzie, gdzie właśnie pierwsza połowa sierpnia ma rozstrzygnąć o losach przyczółka baranowsko-sandomierskiego.

**WITOLD SZYMCZYK**

*Nie pomogły Niemcom czołgi typu „Tygrys". Radziecka broń pancerna potrafiła skutecznie niszczyć również te stalowe kolosy.*

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 158. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.